

DŁUG DEXTRE'A

Nie byłoby mnie tutaj, gdyby nie Dextre. Nie przesadzam. Zazwyczaj pamiętamy ludzi, którzy uratowali nam życie. Ba, zazwyczaj jesteśmy im choć odrobinę wdzięczni.

Dlatego też, gdy pewnego dnia najsmutniej wyglądający cyborg, jakiego kiedykolwiek spotkałam (Dextre wzbogacił swoje ciało o rozliczne nietrafione wszczyepy cybernetyczne) z mozołem wspiął się na domek na drzewie, w którym mieściło się moje biuro, żeby powiedzieć mi, że ktoś próbuje go porwać, cóż, czułam się zobowiązana zrobić, co w mojej mocy, żeby mu pomóc...

Ta historia ma swój początek niemal 20 cykli temu, gdy dopiero stawiałam pierwsze kroki w profesji szpiega do wynajęcia. Anonimowy klient zlecił mi obserwowanie wybitnego inżyniera specjalizującego się w cybotyce, doktora Archibolda C. Schucksa. Miałam donieść o ulepszeniach, nad którymi pracował na rzecz szeregu bytów zamieszkujących Logos. A ponieważ laboratorium było strzeżone tak pilnie, że nawet pająk nie mógłby się do niego przedostać, miejscem, w którym przyszło mi szukać tropów, był dom Schucksa.

Jak już wspominałam, nie zdążyłam jeszcze na dobre poznać szpiegowskiego biznesu.

Pewnie dlatego zrobiłam coś, co śmiało można nazwać błędem żółtodzioba. Samo dostanie się do domu naukowca nie sprawiło mi większych problemów. Bujałam się (to przypadkowa gra słów, wierzcie mi) nad gankiem, aż w końcu ktoś otworzył automatyczne drzwi, przez które szybciotko się prześlizgnęłam.

Dom Schucksa był nieskazatelnie czysty. Gładkie ściany zostały wypolerowane jakimś zaawansowanym, cuchnącym jabłkami środkiem czyszczącym, utrudniającym mi wspinaczkę. Na powrót wgramoliłam się na górną framugę drzwi, by stamtąd rozejrzeć się po pomieszczeniu.

Przedemną rozciągała się podłużna, wąska kuchnia, pełna skomplikowanych sprzętów.



Wbudowane w białe, zintegrowane ze ścianami czy szafkami metaliczne urządzenia aż przesadnie lśniły, sprawiając wrażenie zbyt eleganckich, by sprawować tak przyziemne funkcje, jak siekanie czy gotowanie. Chłodne, gładkie i nieprawdopodobnie błyszczące powierzchnie.

Idealnie zsynchronizowane wiatraki szumiące pod sufitem. Na końcu pomieszczenia znajdowała się niewielka część jadalniana, na którą składał się stół dla dwojga. Za nią majaczyło biuro, a w nim kilka komputerów, klawiatur, wirtualnych interfejsów oraz deska kreślarska. Właśnie tam zamierzałam się dostać.

Niestety na kuchennym krześle czuwał nieruchomo największy wróg każdego pająka – Robokot.

Czym jest Robokot? Inżynierowie z Logos zwykli nazywać go „pupilem przyszłości”. Robokot posiada wszystkie zalety standardowego mručka i w dodatku nie wymaga kuwety ani regularnego przycinania pazurów. Ociera się o nogi, mruczy, a do tego wyśmienicie pozbywa się szkodników, takich jak myszy czy insekty.

A ten konkretny egzemplarz właśnie się ożywił, zeskoczył z krzesła i zaczął się we mnie wpatrywać głodnymi, wzmocnionymi Æmberem oczami.

Sytuacja była skomplikowana. W każdym innym przypadku bez przeszkód przebiegłabym po suficie. Jednak połączenie wypolerowanych powierzchni w kuchni Schucksa z silnym powiewem generowanym przez wiatraki czyniło to przedsięwzięcie wybitnie niebezpiecznym. Musiałam sięgnąć po dodatkowe zabezpieczenie w formie pajęczyny. Przymocowałam kawałek nici przędnej do gzymsu, a następnie doskoczyłam do krawędzi kafelka sufitu, który znajdował się tuż przy ścianie. Planowałam utkać skomplikowaną sieć zabezpieczeń, które pozwolą mi pokonać jedną zdradziecką płytkę za drugą.

To był błąd. Æmberowe oczy Robokota zabłyszczały, gdy z przylegającego korytarza dał się słyszeć głuchy warkot.

– Uruchomiono Auto-Vac 5150 – zakomunikował oschły, mechaniczny głos.

Chwilę później zza rogu wyleciał samobieżny, unoszący się nad ziemią odkurzacz.

Urządzenie zatrzymało się w drzwiach i rozpoczęło skanowanie pomieszczenia. Najwyraźniej moja pajęczyna aktywowała zainstalowany w budynku alarm przeciw szkodnikom i właśnie rozpoczął się proces ich usuwania.

Auto-Vac 5150 podróżował po pokoju, zatrzymując się na moment przy zlewie. Wyciągnął dyszę i błyskawicznie wciągnął kilka zagubionych okruszków pieczywa.

Potem skierował swoje sensory w moją stronę.

Jeśli boisz się pajaków, wiedz, że twój strach to nic w porównaniu z tym, co czujemy na widok odkurzaczy.

Wdrapałam się na sam szczyt pajęczyny w nadziei, że uda mi się ukryć na drzwiach.

Jednak Auto-Vac zdążył mnie zauważyć i nie zamierzał o mnie zapomnieć. Urządzenie powoli, nieuchronnie zbliżało się w moim kierunku. Miałam coraz mniejsze pole manewru. W pośpiechu przymocowałam do drzwi jeszcze kilka nici i przygotowałam się na atak. Po chwili metalowa bestia, zrodzona w umyśle szalonego geniusza, znalazła się na wysokości mojego wzroku. Zapierając się ośmioma odnóżami, starałam się stawiać opór straszliwej sile wysysającej.

Czy to tylko moja wyobraźnia, czy obserwujący wszystko z poziomu podłogi Robokop oblizał się po mechanicznym pyszczku?

Auto-Vac znajdował się już bardzo blisko i dalszy opór był niemal niemożliwy. Wskoczyłam więc w kierunku bestii, chwyciłam się mocno dyszy i wdrapałam się poza zasięg zabójczej paszczy.

Domowy system SI, że tak powiem, kompletnie zwariował. Światła w kuchni zaczęły szaleńczo migać, wiatraki jeszcze przyspieszyły, a Robokop zawył w niebogłosy. Odkurzacz, ze mną na pokładzie, leciał prosto na kota, który już szykował się, by do mnie doskoczyć.

Zamknęłam oczy, modląc się do Architektów, bym odrodziła się jako jakaś w miarę przyzwoita istota. Byłam przygotowana na najgorsze. Moje modły nie zostały wysłuchane – nie dosłownie – gdyż w tym właśnie momencie otworzyły się drzwi i do kuchni wszedł mały Dextre (miał za sobą osiem, może dziewięć cykli). Gdy zobaczył zamieszanie, szybko wydał komendę:

– Komputer! Zatrzymaj wszystko!

Efekt był natychmiastowy. Robokot zatrzymał się w połowie skoku, a jego oczy stały się dziwnie mętne. Auto-Vac przestał wirować i wciągać, nie rozbił się jednak dzięki awaryjnemu polu antygravitacyjnemu. Nawet wiatraki przestały działać.

– Na siedem otchłani Disu, co tu się wyprawia? – mruknął Dextre, przyglądając się odkurzaczowi.

Wówczas zobaczył, jak desperacko staram się z niego nie zlecieć.

– Naprawdę? Tyle zamieszania o pajaka? – zdziwił się.

Czyżbym dostrzegła zażenowanie w Æmberowych oczach Robokota?

– No już, pajaczkę – zanucił Dextre, wyciągając pomocną dłoń. Zaufałam swojej intuicji pod względem ludzi – a musicie wiedzieć, że pająki nabywają ją już w młodym wieku – i wbiegłam na jego rękę.

Przysunął mnie bliżej twarzy i uważnie przyjrzał się barwie pancerza.

– Przybyłeś z daleka, co? – zauważył.

– Muszę ci podziękować za to, że ocaliłeś mnie przed niechybną śmiercią – odparłam.

- Rany! Ty mówisz? – całkiem zaimponowało mi, że mnie nie upuścił.
- A jakże. Tak jak i ty – odparłam.
- Jesteś robotem? Nową zabawką taty? – zapytał.
- Nie, jestem całkiem prawdziwą pajęczycą.

Nie potrafię powiedzieć, czy na jego twarzy malowało się zdumienie, zachwyt czy rozczarowanie. Pewnie wszystkiego po trochu.



- Skąd myślisz, że ktoś chce cię porwać? I kto to mógłby być? – spytałam, choć spodziewałam się tego już od jakiegoś czasu.
- Pamiętasz, co spotkało tatę? – Dextre odpowiedział pytaniem na pytanie. – Wydaje mi się, że to znów się dzieje.



Przez kolejne tygodnie spędziłam w tamtym domu wiele godzin. Praca była powolna, jak większość misji wywiadowczych, co miało jedną pozytywną stronę – mogłam bliżej poznać młodego Dextre'a. Trudno było mu nie współczuć. Większość czasu spędzał samotnie, przesuwając po podłodze figurki, wymyślając historyjki o bohaterach i złoczyńcach. Matka chłopca zmarła niedługo po porodzie, a Archibold był zawodowym naukowcem i wiele godzin spędzał w laboratorium. Gdy tata rano wychodził z domu, Dextre zalewał się łzami, a gdy wracał z pracy, był zbyt wyczerpany lub zajęty, by pobawić się z synem lub chociaż opowiedzieć mu jakąś bajkę.

Zacząłam więc z nim rozmawiać. Poniekąd, by zabić czas oczekiwania na powrót Schucksa, ale też dlatego, że zwyczajnie było mi żal chłopca.

- Kim chcesz zostać, gdy dorośniesz? – spytałam pewnego deszczowego popołudnia. Dextre siedział na podłodze i bawił się zabawkowymi robotami, które akurat obmyślały, jak uratować jednego ze swoich braci uwięzionego w gęstej pajęczynie, utkanej przeze mnie poprzedniego dnia.

– Cyborgiem. Jak tata.

To była dla mnie nowość. Wiedziałam, że doktor Schucks zajmuje się cybotyką, ale nie zdawałam sobie sprawy, że udoskonał własne ciało. Co więcej, z materiałów na jego temat, które początkowo przejrzałam, nic takiego nie wynikało. Ludzie, którzy trzymają swoje wszczepy cybernetyczne w tajemnicy, zazwyczaj mają ku temu dobry powód.

– Wiesz, dlaczego to robi?

– Chce być silniejszy. Szybszy. Sprytniejszy. Żeby pokonać złych gości, gdy już skończy to, nad czym pracuje.

– O jakich złych gościach mówisz?

– Tych, którzy co kilka tygodni odwiedzają nas, żeby sprawdzić, jak tacie idzie.

Najwyraźniej nie tylko mój klient interesował się doktorem Archiboldem C. Schucksem.



- Czy źli goście powrócili? – spytałam.
- Ha. Źli goście. Jestem już dorosły, wiem, że to byli Marsjanie. Przytaknęłam, zastanawiając się, co jeszcze wie.
- Tak, zaczęli składać mi wizyty – kontynuował Dextre. – Jak to mówią, chcą mieć pewność, że moje usprawnienia będą gotowe. Nie pracuję dokładnie nad tym samym, co tata, kiedy byłem dzieckiem, ale nad czymś podobnym.



Na własne oczy widziałam porwanie, które przebiegło zupełnie inaczej, niż zostało to przekazane Dextre'owi.

Po kilku tygodniach obserwacji dobrze znałam plan dnia Schucksów. Wiedziałam, że czasami przed snem doktor omawiał sprawy zawodowe z kolegami poprzez cybersieć. Gdy to robił, zajmowałam dogodną pozycję nad lustrem w sypialni, starając się podsłuchiwać. To właśnie podczas jednej z tych długich, niezrozumiałych dyskusji nad zaletami i wadami rozmaitych płynów neurotransmisyjnych wszystko się zmieniło.

Nagle za oknem doszło do rozbłysku, po którym dał się słyszeć niski warkot. Pomieszczenie zalało dziwne, zielonkawe światło.

– Muszę lecieć – oświadczył koledze Schucks, a następnie przerwał połączenie.

Chwilę później część ściany rozbłysła się tą samą zieloną poświatą, przez którą następnie przeszło trzech przysadzistych marsjańskich żołnierzy uzbrojonych w pistolety laserowe.

– Zawiodłeś nas, doktorze – oświadczyli jednogłośnie, mrużąc paciorkowate oczy.

– Potrzebuję więcej czasu. – Archibold wstał od biurka, wyciągając przed siebie otwarte dłonie, jakby w ten sposób chciał podkreślić wagę swych słów.

– Ofiarowaliśmy ci Æmber, jak nam nakazał Ozmo, a ty go roztrwoniliśmy. Gdzie jest broń?

– Nie ma żadnej broni. Jeszcze. Potrzebuję czasu!

– Skoro nie ma broni, nie ma też czasu. Zgodnie z artykułem 1004381.2 Kodeksu Marsjańskiego mamy prawo ustalić rekompensatę, jaką będziesz zobowiązany nam udzielić – oznajmili Marsjanie.

– Jesteście w moim domu. Marsjańskie prawo tu nie obowiązuje.

– Marsjańskie prawo obowiązuje wszędzie tam, gdzie działają nasze organy ścigania.

A oto rekompensata, której oczekujemy: Dextre. Włosy na moich odnóżach stanęły dęba.

– Nie oddam wam syna. Zażądajcie czegoś innego.

– Zgodnie z artykułem 1004387.6 Kodeksu Marsjańskiego raz ustalona rekompensata nie może ulec zmianie. Negocjacji podlega jedynie termin jej uiszczenia.

– Świetnie. To jak mogę przesunąć termin spłaty? Najlepiej bezterminowo?

– Zgodnie z artykułem...

– Opuśćcie sobie ten biurokratyczny bełkot i przejdźcie do sedna!

– Można przesunąć termin uiszczenia rekompensaty do czasu aż ta osiągnie dorosłość. Aby do tego doszło, dłużnik musi dobrowolnie oddać się w ręce wierzyciela – wyjaśnili Marsjanie.

– Co to niby oznacza?

– To znaczy, że pójdziesz teraz z nami, a po Dextre'a wrócimy, gdy będzie pełnoletni.

– Nie możecie tak po prostu... – zaczął Schucks.

– Ależ możemy, doktorze – Marsjanin, który najwyraźniej dowodził całej trójce, uniósł pistolet.

– Nie, nie, nie. Nie strzelajcie. Nie chcę, żeby mój syn przeżył traumę. Nie będę stawiał oporu.



– Zawsze wydawałeś się rozsądny.

Dwóch Marsjan podeszło do doktora, po jednym z każdego boku, i skrępowało jego ręce laserowymi kajdanami. Gdy prowadzili go ku zielonkawej ścianie i (jak sądzę) zaparkowanemu za nią statkowi kosmicznemu, Archibold wykrzyknął słowa, których nigdy nie zapomnę:

– Pajęczyco, wiem, że tam jesteś. To ja zleciłem ci przybycie tutaj i obserwowanie mojego domostwa. Wiedziałem, że mój syn będzie cię potrzebował. Zrób wszystko, co będziesz mogła, by go uchronić, a moje odkrycia będą należały do ciebie!



Siedziałam w tej samej kuchni, tylko że w tym momencie należała już do mnie, jako że odziedziczyłam ją po doktorze Schucksie. Po tych wszystkich latach nadal była nieskazitelnie czysta i lśniąca. Robokot był moim wiernym przyjacielem, a w miejscu Auto-Vaca znalazł się wyższy, znacznie ulepszony model. Ten sam stół, te same krzesła i wiatraki. Lecz ja zupełnie nie przypominałam tamtej pajęczycy. Dextre odszedł. Nie martwcie się, Marsjanie nie zdołali go dorwać. Miałam prawie 20 cykli na obmyślenie, jak do tego nie dopuścić.

Po porwaniu Archibolda, postanowiłam pomagać chłopcu z daleka, tak, jak zwykły to czynić pająki. Ograniczając detale do minimum – nie chciałam go bowiem przestraszyć – skontaktowałam się z ciotką Dextre'a, upewniając się, że będzie przy nim ktoś dorosły. Sfabrykowałam kilka dokumentów i sfałszowałam podpis Archibolda, gwarantując chłopcu dostatnie życie w społeczeństwie Logotarian oraz dostęp do odpowiedniej edukacji. Wreszcie pomogłam mu przejść przez rozczarowanie pierwszymi wszczepami cybernetycznymi, ponieważ nigdy nie spełniają wygórowanych wyobrażeń młodych cyborgów.

Gdy zgodnie z moimi przewidywaniami Marsjanie znów pojawili się na horyzoncie, zrobiliśmy, co było konieczne. Był tylko jeden sposób, by uchronić Dextre'a przed wrogiem wyposażonym w statki kosmiczne, pistolety laserowe i tajemniczą technologię – musiał dołączyć do jakiegoś Archonta, zyskując w ten sposób immunitet.

Nie było to łatwe. Z Dextre'a był marny wojownik, trudno go było nazwać atletą, nie był też geniuszem. Wszczepił sobie dopiero pierwsze usprawnienia i nie był nawet bliski uwolnienia ich pełnego potencjału. Większość Archontów bez mrugnięcia okiem odrzuciłaby jego kandydaturę.

Na szczęście nie wszyscy Archonci mają obsesję na punkcie wygrania dziwnych, rytualnych zawodów. Są i tacy, którzy uważają, że otwarcie choćby jednej Krypty z udziałem drużyny złożonej z wyrzutków i słabeuszy jest znacznie bardziej wartościowe

od zawartości dziesiątek Krypt zdobytych przez czempionów. Owi Archonci uważają, że zawartość Krypty jest związana ze sposobem, w jaki została otwarta. Innymi słowy, są i tacy, którzy dostrzegają zalety trudnych przypadków. Misa, Zbieraczka z Kruchego Ogrodu należała do tego grona. Uznała, że Dextre został stworzony do tego, by zasilić szeregi jej drużyny.

Od tamtego dnia podróżuje u jej boku. I to już koniec tej historii. Zadowolający, a może nawet radosny? Jedna myśl nie przestaje mnie jednak prześladować. Marsjanie wciąż czekają na spłatę długu.

